



TADEUSZ BOROWSKI

**Dzień na
Harmenzach**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

TADEUSZ BOROWSKI

Dzień na Harmenzach

I

Cień kasztanów jest zielony i miękki. Kołysze się lekko po ziemi jeszcze wilgotnej, bo świeżo skopanej, i wznosi się nad głową seledynową kopułą, pachnącą poranną rosą. Drzewa tworzą wzdłuż drogi wysoki szpaler, a czuby ich rozplywają się w kolorycie nieba. Odurzająca woń bagna ciągnie od stawów. Trawa zielona jak plusz srebrzy się jeszcze rosą, ale ziemia już paruje w słońcu. Będzie upał.

Lecz cień kasztanów jest zielony i miękki. Nakryty cieniem, siedzę w piasku i wielkim francuskim kluczem dokręcam złączenia wąskotorowej kolejki. Klucz jest chłodny i do-

brze leży w dłoni. Co chwila biję nim o szyny. Metaliczny, surowy dźwięk rozchodzi się po całych Harmenzach¹ i powraca z daleka niepodobnym echem. Oparci na łopatach, stoją koło mnie Grecy. Ale ci ludzie z Salonik² i winnych stoków Macedonii³ boją się cienia. Stoją więc w słońcu, zdjęwszy koszule, i opalają niezmiernie chude barki i ramiona, pokryte świerzbem i wrzodami.

— Ależ pilnie pracujesz dzisiaj, Tadku! Dzień dobry! Nie jesteś głodny?

— Dzień dobry, pani Haneczko! Absolutnie nie. A poza tym walę mocno w szyny, bo nasz nowy kapo⁴... Przepraszam, że nie wstaję z szyn, ale pani rozumie: wojna, *Bewegung, Arbeit*⁵...

¹*Harmenze* a. *Harmense* — podobóz, w którym do stawu rybnego więźniowie zsypywali popiół ze zwłok palonych w krematoriach. Podobóz *Harmense* powstał na terenie dawnej wsi Harmęże. [przypis edytorski]

²*Saloniki* — miasto w północnej Grecji, nad Morzem Egejskim. [przypis edytorski]

³*Macedonia* — tu: prawdopodobnie region administracyjny Grecji. [przypis edytorski]

⁴*kapo* — w gwarze obozowej: więzień, pełniący funkcję dozorca pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

⁵*Bewegung, Arbeit* (niem.) — ruch, praca. [przypis edytorski]

Pani Haneczka uśmiecha się.

— Ależ naturalnie, że rozumiem. Nie poznałabym cię, gdybym nie wiedziała, że to ty. Pamiętasz, jak jadłeś kartofle w łupinach, które dla ciebie kradłam od kur?

— Jadłem! Ależ, pani Haneczko, ja się nimi zażerałem! Uwaga, esesman od tyłu.

Pani Haneczka sypnęła parę garści zboża z sita zbiegającym się ku niej kurczakom, ale, obejrzawszy się, machnęła lekceważąco:

— Ach, to tylko nasz szef. Mam go w tym palcu.

— W takim małym? Strasznie dzielna z pani kobieta. — I z rozmachem walnąłem kluczem w szyny, wybijając na jej cześć melodię: *La donna è mobile*⁶.

— Ależ, człowieku, nie hałasuj! Może byś jednak naprawdę coś zjadł? Właśnie idę do dworu, to ci przyniosę.

⁶*La donna è mobile* — (wł. *Kobieta jest zmienna*), aria z opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego (1813–1901). [przypis edytorski]

— Pani Haneczko, najczulej dziękuję. Myślę, że dosyć mnie pani dokarmiła, jak byłem biedny...

— ...ale uczciwy — rzuciła z lekką ironią.

— ...a co najmniej niezaradny — odparowałem, jak umiałem. — *Ale à propos* niezaradności: miałem dla pani dwa piękne mydła z najśliczniejszą, jaka może być, nazwą „Warszawa⁷” i...

— i... ukradli jak zwykle?

— I ukradli jak zwykle. Jak nie miałem nic, to spałem spokojnie. Teraz, żebym nie wiedzieć jak owiązał paczki sznurkami i drutem, zawsze rozwiążą. Parę dni temu zorganizowali⁸ mi butelkę miodu, a teraz znów to mydło. Ale biedny będzie złodziej, jak go złapię.

Pani Haneczka roześmiała się na głos.

— Wyobrażam sobie. Aleś dziecko! Co do mydła, masz się wcale nie martwić, dostałam dziś od Iwana dwa ładne kawałki. Ach, byłabym zapomniała, oddaj ten pakuneczek dla Iwana,

⁷*Warszawa* — stolica i największe miasto Polski. [przypis edytorski]

⁸*organizować* — w gwarze obozowej: zdobyć nielegalnie, ukraść. [przypis edytorski]

to słonina — rzekła, kładąc pod drzewem małe zawiniątko. — A tu patrz, jakie ładne mydła.

Odwinęła papier dziwnie znajomy. Podszedłem i przyjrzałem się dokładniej: na obu wielkich jak od Schichta⁹ kawałkach wytłoczona była kolumna i napis *Warszawa*.

Milcząc, oddałem jej zawiniątko.

— Rzeczywiście, ładne mydło.

Spojrzałem na pole ku rozrzuconym grupom pracujących ludzi. W ostatniej, aż koło kartofli, dostrzegłem Iwana: jak pies owczarek naokoło trzody czujnie obchodził swoją grupę ludzi, pokrzykiwał coś, czego z odległości nie było słyhać, i wymachiwał wielkim, odartym z kory kijem.

— Ale biedny będzie złodziej — rzekłem nie spostrzegłszy, że mówię w przestrzeń, bo pani Haneczka odeszła już i tylko z daleka rzucała mi, odwracając na moment głowę:

— Obiad, jak zwykle, pod kasztanami.

— Dziękuję!

⁹*Schicht* — warszawskie przedsiębiorstwo, produkujące m.in. mydło. [przypis edytorski]

I począłem znów dzwonić kluczami o szyny i dokręcać zluzowane śruby.

Pani Haneczka wzbudziła pewną sensację wśród Greków, gdyż przynosi im czasem kartofle.

— Pani Haneczka *gut, extra prima*¹⁰. To twoja *madonna*¹¹?

— Ależ gdzie *madonna*! — obruszam się, tłukąc przez pomyłkę kluczem w palec — to znajoma, no, *camerade, filos, compris, Greco bandito*¹²?

— *Greco niks bandito. Greco gut*¹³ człowiek. Ale dlaczego ty nic od niej jeść? Kartofel, *patatas*¹⁴?

— Nie jestem głodny, mam co jeść.

¹⁰*gut, extra prima* — dobra, super pierwszorzędna (niektórzy więźniowie z południa Europy posługują się specyficzną mieszanką języków romańskich, niekiedy z drobnymi naleciałościami niemieckimi; uwaga ta odnosi się do niemal wszystkich dialogów „greckich”). [przypis edytorski]

¹¹*madonna* — tu: kobieta. [przypis edytorski]

¹²*camerade, filos, compris, Greco bandito* — koleżanka, przyjaciele, rozumiesz, grecki bandyto. [przypis edytorski]

¹³*Greco niks bandito. Greco gut* — Grek nie bandyta. Grek dobry. [przypis edytorski]

¹⁴*patatas* — ziemniaki. [przypis edytorski]

— Ty *niks gut, niks gut* — kręci głową stary Grek, tragarz z Salonik, który zna dwanaście języków z południa — my jesteśmy głodni, wiecznie głodni, wiecznie, wiecznie...

Kościste ramiona przeciągają się. Pod oparzywiałą świerzbem i wrzodami skórą grają dziwnie wyraźnie, jakby oddzielone osobno, mięśnie, uśmiech łagodzi napięte rysy twarzy, ale czającej się gorączki w oczach nie może zagasić.

— Jak jesteście głodni, to ją poproście. Niech wam przyniesie. A teraz pracujcie, *laborando, laborando*¹⁵, bo nudno z wami. Idę gdzie indziej.

— A właśnie, Tadeusz, że źle zrobiłeś — rzekł, wysuwając się zza innych, stary, gruby Żyd. Oparł łopatę o ziemię i, stanąwszy nade mną, ciągnął: — Przecież i ty byłeś głodny, więc umiesz nas zrozumieć. Nic by ciebie nie kosztowało, żeby tak przyniosła z kubel kartofli.

Słowo *kubel* przeciągnął długo i marząco.

¹⁵*laborando, laborando* — pracować, pracować. [przypis edytorski]

— Ty się, Beker, odczep ode mnie ze swoją filozofią i zajmij się lepiej ziemią i łopata, *compris*? Ale żebyś wiedział: będziesz zdychał, to cię jeszcze dobiję, rozumiesz? A wiesz, za co?

— Za cóż to?

— Za Poznań¹⁶. A może to nieprawda, że byłeś *Lagerältesterem*¹⁷ w żydowskim lagrze¹⁸ pod Poznaniem?

— No to co, że byłem?

— A zabijałeś ludzi? A wieszaleś ich na słupku za głupią ukradzioną kostkę margaryny albo za bochenek chleba?

— Wieszaleś złodziejów.

— Beker, mówią, że jest na kwarantannie¹⁹ twój syn.

¹⁶*Poznań* — miasto na prawach powiatu w zach. Polsce, stolica województwa wielkopolskiego. [przypis edytorski]

¹⁷*Lagerältester* (niem.) — starszy obozu, najstarszy funkcyjny więzień. [przypis edytorski]

¹⁸*lager* — w gwarze obozowej: niemiecki obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

¹⁹*kwarantanna* — w gwarze obozowej: okres pobytu w obozie bezpośrednio po przybyciu, w czasie którego eliminowano więźniów chorych na choroby zakaźne i niezdolnych do pracy; kwarantannę organizowano w izolowanych blokach. [przypis edytorski]

Ręce Bekera kurczowo ujęły trzon łopaty, a wzrok jego począł uważnie obejmować mój tułów, szyję, głowę.

— Ty, puść tę łopatę, nie patrz tak bojowo. Może to nieprawda, że to syn kazał cię zabić za tamtych z Poznania?

— Prawda — rzekł głucho. — A drugiego syna powiesiłem w Poznaniu, ale nie za ręce, tylko za szyję, bo ukradł chleb.

— Bydlę! — wybuchnąłem.

Ale Beker, starszy, siwawy Żyd, skłonny nieco do melancholii, był już spokojny i opamnowany. Popatrzył na mnie z góry, prawie z pogardą:

— Jak długo siedzisz w obozie?

— O... parę miesięcy.

— Wiesz, Tadeusz, bardzo cię lubię — rzekł niespodziewanie — ale ty głodu to tak naprawdę nie zaznałeś, co?

— Zależy, co to jest głód.

— Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia. Ja już miałem taki głód. Rozu-

miesz? — A gdy milczałem i tylko od czasu do czasu stukałem kluczem o szyny, i machinalnie oglądałem się na lewo i na prawo, czy nie idzie kapo, ciągnął: — Nasz lager — tam — był mały... Tuż obok drogi. Drogą chodzili ludzie ładnie ubrani, takie kobiety. Na przykład w niedzielę do kościoła. Albo młode pary. A dalej wieś, taka zwykła wieś. Tam ludzie mieli wszystko, o pół kilometra od nas. A myśmy brukiew... człowieku, u nas ludzie żywcem chcieli się zjadać! I co, miałem nie zabijać kucharzy, co za masło kupowali wódkę, a za chleb papierosy? Mój syn kradł, to go też zabiłem. Ja jestem tragarz, to znam życie.

Przyglądałem mu się ciekawie, jak nowemu człowiekowi.

— A ty, a ty też tylko twoją porcję jadłeś?

— To co innego. Ja byłem *Lagerältesterem*.

— Uważaj! *Laborando, laborando, presto*²⁰!

— wrzasnąłem nagle, zza zakrętu drogi bowiem wynurzył się esesman na rowerze i przejeżdżał obok nas, przyglądając się uważnie. Na-

²⁰*presto* — szybko. [przypis edytorski]

tychmiast pochyliły się niżej karki, wzniosły się ciężko trzymane w pogotowiu łopaty, uderzył o szyny francuski klucz.

Esesman zniknął za drzewami, łopaty opadły i znieruchomiały, Grecy zapadali w zwykłe odrętwienie.

— Która godzina?

— Nie wiem. Do obiadu jeszcze daleko. A wiesz, Beker, powiem ci coś na odchodnym: dziś będzie na lagrze wybiórka²¹. Mam nadzieję, że razem ze swoimi wrzodami pójdziesz do komina.

— Wybiórka? Skąd wiesz, że będzie...

— Cóżeś się tak wystraszył? Będzie, i tyle. Boisz się, co? Nosił wilk... — Uśmiecham się złośliwie, rad z pomysłu, i odchodzę, nucąc modne tango zwane „krematoryjnym”. Puste oczy człowieka, z których nagle uciekła wszelka treść, patrzą nieruchomo przed siebie.

²¹wybiórka a. selekcja — w gwarze obozowej: wybieranie spośród chorych lub inwalidów kandydatów do zagazowania. [przypis edytorski]

II

Szyny mojej kolejki ciągną się wzdłuż i wszerz po całym polu. Tu doprowadziłem je jednym końcem do kupy spalonych kości, przywożonych przez auta z „kremo”, a drugi utopiłem w stawie, gdzie ostatecznie kości te lądują, ów-
dzie wjechałem nimi na górę piasku, który będzie równomiernie rozprowadzony po polu, żeby dać suchy podkład zbyt bagnistej glebie, tam znów położyłem je wzdłuż wału trawiastej ziemi, która pójdzie na piasek. Tory chodzą tak i siak, a tam, gdzie się krzyżują, jest olbrzymia żelazna płyta obrotowa, którą przenosi się raz tu, raz tam.

Tłum półnagich ludzi otoczył ją, pochylił się i wczepił w nią palce.

— *Hoooch*²², do góry! — wrzasnąłem, dla lepszego efektu podnosząc sugestywnie rękę jak dyrygent. Ludzie szarpnęli raz i drugi, ktoś przewalił się ciężko przez płytę, sam nie mogąc za bardzo ustać na nogach. Skopany przez towa-

²²*hoch* (niem.) — do góry. [przypis edytorski]

rzyszy, wyczołgał się z kręgu i, podnosząc piaskiem i łzami uwalaną twarz znad ziemi, jęknął:

— *Zu schwer, zu schwer...*²³ Za ciężkie, kolego, za ciężkie... — Wsadził rozharataną dłoń w usta, ssał chciwie.

— Do roboty, *auf*²⁴! Wstawaj! Ano jeszcze raz! *Hooch!* Do góry!

— *Doguri!* — zgodnym chórem powtarza tłum, pochyla się jak najniżej, wypina zębate jak u ryb łuki kręgosłupów, wypręża mięśnie tułowia. Ale ręce, przytknięte do płyt, zwisają luźne i bezwładne.

— Do góry!

— *Doguri!*

Nagle na ten krąg wyprężonych grzbietów, na zgięte karki, na pochylone aż ku ziemi głowy, na sflaczałe ręce posypał się grad uderzeń. Trzon łopaty bębnił o łby, obijał skórę na kościach i głucho stękał po brzuchu. Zakotłowało się naokoło płyty. Okropny wrzask ludzki buchnął nagle i urwał się, a płyta dźwignęła

²³*zu schwer* (niem.) — za ciężki. [przypis edytorski]

²⁴*auf* (niem.) — tu: do góry, wstawaj. [przypis edytorski]

się do góry i, chybcząc się, ciężko zawisła nad głowami ludzi i ruszyła, grożąc w każdej chwili upadkiem.

— Wy psy — rzucił odchodzącym kapo — ja będę wam ale pomagał.

Dysząc ciężko, przecierał ręką czerwoną, obrzękłą twarz o żółtych plamach i wodził za nimi roztargnionym, bezmyślnym spojrzeniem, jakby tych ludzi widział po raz pierwszy. Potem zwrócił się do mnie:

— Ty, kolejarz, gorąco dzisiaj?

— Gorąco. Kapo, tę płytę trzeba położyć przy trzecim inkubatorze, prawda? A szyny?

— Poprowadzisz prosto do rowu.

— Ale tam jest wał ziemi po drodze.

— To go przekop. Do południa musi być zrobione. A na wieczór zrobisz mi cztery pary noszy. Może się kogoś poniesie na lager. Gorąco dziś, co?

— Gorąco. Ale, kapo... Dalej, dalej z tą płytą! Do trzeciego domku. Kapo się patrzy!

— Kolejarz, daj mi cytrynę.

— Niech kapo przyśle do mnie pipla²⁵. Nie mam w kieszeni.

Kiwa kilkakrotnie głową i odchodzi, kulejąc. Idzie na dwór, na wyżerkę. Ale wiem, że tam mu nic nie dadzą — bije ludzi. Kładziemy płytę. Straszliwym wysiłkiem dociąga się szyny, podważa kilofem, gołymi palcami dokręca się śruby. Głodne, gorączkowe postacie łążą, nieporadne, zgonione, pokrwawione. Słońce wychodzi wysoko na niebo i grzeje coraz dokuczliwiej.

— Która godzina, kolego?

— Dziesiąta — mówię, nie podnosząc oczu od szyn.

— Boże, Boże, jeszcze dwie godziny do obiadu. Czy to prawda, że dziś będzie w obozie wybiórka, że pójdziemy do krematorium?

Już wszyscy wiedzą o wybiórce. Ukradkiem opatrują sobie rany, żeby były czyściejsze i mniej-sze, zrywają bandaże, masują mięśnie, spryskują się wodą, żeby być świeższymi i raźniejszymi

²⁵*pipel* — w gwarze obozowej: chłopiec na posługi u blokowego a. kapo.
[przypis edytorski]

na wieczór. Walczą o byt ciężko i bohatersko. Innym jest wszystko jedno. Ruszają się, żeby uniknąć bicia, żrą trawę i lepką glinę, aby nie czuć głodu, chodzą osowiali, jeszcze żywe trupy.

— My wszyscy — krematorium. Ale wszyscy Niemcy będą *kaput*²⁶. Wojna *fini*²⁷, wszyscy Niemcy — krematorium. Wszyscy: kobiety, dzieci. Rozumiesz?

— Rozumiesz, *Greco gut*. Ale to nieprawda, wybiórki nie będzie, *keine Angst*²⁸.

Przekopuję wał. Lekka, poręczna łopata „sama” chodzi w dłoniach. Grudy wilgotnej ziemi poddają się łatwo i miękko wylatują w powietrze. Dobrze jest pracować, jak się zjadło na śniadanie ćwierć boczku z chlebem i czosnkiem i zapiło się puszką skondensowanego mleka.

²⁶*kaput* — skończeni. [przypis edytorski]

²⁷*fini* — skończona. [przypis edytorski]

²⁸*kein Angst* — żadnego strachu. [przypis edytorski]

W skąpym cieniu murowanego inkubatora kucnął Kommandoführer²⁹, mały, wysuszony esesmanek w rozchełstanej koszuli. Zmęczył się łażeniem wśród kopiających. Umie boleśnie smagać szpicrutą. Wczoraj ciął mnie dwa razy przez plecy.

— Gleisbauer³⁰, co tam nowego słysząc?

Śmigam łopata i przybijam ziemię na wierzchu.

— Pod Orłem³¹ padło trzysta tysięcy bolszewików.

— To dobrze, nie? Jak myślisz?

— Pewnie, że dobrze. Bo tam zginęło drugie tyle Niemców. A bolszewicy będą za rok tutaj, jak tak dalej pójdzie.

— Tak myślisz? — uśmiecha się złośliwie i zadaje sakramentalne pytanie: — Daleko do obiadu?

²⁹*Kommandoführer* (niem.) — szef komanda więźniarskiego. [przypis edytorski]

³⁰*Gleisbauer* (niem.) — pracownik torowy. [przypis edytorski]

³¹*Orzeł* — miasto w zach. części Rosji, nad rzeką Oką; w czasie II wojny miejsce ciężkich walk między Rosjanami i Niemcami. [przypis edytorski]

Wyciągam zegarek, stary, srebrny grat ze śmiesznymi rzymskimi cyframi. Lubię go, bo jest podobny do zegarka ojca. Kupiłem go za paczkę fig.

— Jedenasta.

Cherlak wstał spod muru i spokojnie wyjął mi go z ręki.

— Daj mi go. Bardzo mi się podoba.

— Nie mogę, bo to mój własny, z domu.

— Nie możesz? To nie.

Zamachnął się i cisnął zegarek o ścianę. Po czym siada znów w cieniu i podkula nogi. — Gorąco dzisiaj, co?

Milcząc, podnoszę zegarek i zaczynam gwizdać ze złości. Najpierw fox o wesołej Joannie, potem stare tango o Rebecce, potem „Warszawiankę”³² i „Rotę”³³, a wreszcie repertuar z lewej strony.

³²*Warszawianka* a. *Warszawianka 1905* — polska pieśń socjalistyczna, powstała w 1879 roku. [przypis edytorski]

³³*Rota* — wiersz Marii Konopnickiej (1842–1910), a także pieśń hymniczna. [przypis edytorski]

Właśnie gwizdałem „Międzynarodówkę”³⁴, wtórując w myśli — *Eto budiet poslednij i rieszitielnyj boj*³⁵, gdy nagle przesłonił mnie wysoki cień i ciężka dłoń spadła mi na kark. Podniosłem głowę i zamarłem. Rozpościerała się nade mną olbrzymia, czerwona, obrzękła twarz, a trzon od łopaty niepokojąco chwiał się w powietrzu. Nieskazitelnie białe pasiaki odcinały się ostro od dalekiej zieleni drzew. Mały czerwony trójkąt z cyferką „3277”, przyszyty do piersi, chwiał się dziwnie i rozrastał się w oczach.

— Co gwizdziesz? — spytał kapo, patrząc mi prosto w oczy.

— To taki bardzo międzynarodowy slogan, panie kapo.

— A znasz ten slogan?

— No... trochę... z rozmaitych stron — dodałem przezornie.

— A to znasz? — spytał.

³⁴*Międzynarodówka* — pieśń rewolucyjna, hymn socjalistów. [przypis edytorski]

³⁵*Eto budiet poslednij i rieszitielnyj boj* (ros.) — To będzie ostatni i decydujący bój. [przypis edytorski]

I ochryplym głosem zaczął śpiewać *Rote Fahne*³⁶. Odrzucił trzon od łopaty, oczy zaśniły mu niespokojnie. Nagle urwał, podniósł kij i pokiwał głową, pół z pogardą, a pół z politowaniem.

— Żeby to prawdziwy SS słyszał, już byś nie żył. Ale ten...

Cherlak pod murem śmieje się szeroko i dobrodusznie:

— I wy to nazywacie katorgą! Trzeba było być jak ja na Kaukazie³⁷!

— Kommandorführer, już zasypaliśmy jeden staw kośćmi ludzkimi, a ile zasypano przedtem, a ile poszło do Wisły³⁸, tego ani pan, ani ja nie wiemy.

— Trzymaj pysk, świński psie! — i wstał spod muru, sięgając po upuszczoną szpicrutę.

— Bierz ludzi i idź po obiad.

³⁶*Rote Fahne* — (wł. Bandiera Rossa), powstała we Włoszech jedna z najślynniejszych pieśni ruchu robotniczego, której tekst zmodyfikowano po dojściu Mussoliniego do władzy. [przypis edytorski]

³⁷*Kaukaz* — łańcuch górski na pograniczu płd.-wsch. Europy i płd.-zach. Azji; także region geograficzny wokół gór Kaukaz. [przypis edytorski]

³⁸*Wisła* — najdluzsza rzeka Polski. [przypis edytorski]

Rzucam łopatę i znikam za węglem inkubatora. Z daleka słyszę jeszcze głos kapa, ochryply i dychawiczny:

— Tak, tak, to są świńskie psy. Trzeba ich wszystkich wybić do nogi. Ma pan rację, panie Kommandorführerze.

Rzuciłem na nich nienawistne spojrzenie.

III

Wychodzimy drogą prowadzącą przez Harmenze. Wysokie kasztany szumią, cień jest jeszcze zieleńszy, ale jakby suchszy. Jak wyschłe liście. Jest to cień południa.

Po wyjściu na drogę trzeba koniecznie przejść obok malutkiego domku o oknach z zielonymi okiennicami, które w środku mają niezgrabnie wycięte serduszka, i o białych, w pół zesuniętych firaneczkach. Pod oknami pną się delikatne róże o bladym, matowym kolorze, a w skrzyneczkach rosną jakieś dziwne, fioletowe kwiateczki. Na schodach z ganeczkiem oplecionym ciemnozielonym bluszczem bawi

się mała dziewczynka z wielkim, mrukliwym psem. Pies, widocznie znudzony, daje się ciągnąć za uszy, tylko przekręca łbem, oganiając się od much. Dziewczynka jest w białej sukieneczce, ma opalone, brązowe ramiona. Pies jest rasy doberman, o brązowym podgardlu, a ta dziewczynka to córka Unterscharführera³⁹, gospodarza w Harmenze. A ten dworek z różyczkami i firaneczkami to jego dom.

Zanim się wyjdzie na drogę, trzeba przebyć parę metrów grząskiego, lepkiego błota, ziemi zmieszanej z trocinami i polewanej odkażającą substancją. To żeby nie przywlec żadnej zarazy na Harmenze. Obchodzę ostrożnie z boku to świństwo i wyłazimy społem na drogę, gdzie rzędem poustawiane stoją kotły z zupą. Przywiózł je samochód z obozu. Każde komando⁴⁰ ma swoje kotły, poznaczone kredą. Obchodzę je dookoła. Zdążyliśmy na czas, nikt nam jeszcze nie ukradł. Trzeba samemu spróbować.

³⁹*Unterscharführer* — najmłodszy stopień podoficerski w SS. [przypis edytorski]

⁴⁰*komando* — w gwarze obozowej: w obozie koncentracyjnym grupa więźniów, wykonujących pracę przymusową. [przypis edytorski]

— Pięć naszych, dobrze, zabierać, te dwa rzędy należą do kobiet, nie wolno grandy robić. Aha, jest — monologuję głośno i ciągnę kocioł sąsiedniego komanda, a na jego miejsce podstawiam nasz, o połowę mniejszy, i kreślę nowe znaki kredą.

— Zabierać! — gromko wołam do Greków, którzy gapią się na proceder pełni zrozumienia.

— Te, coś kotły zamienił! Czekać, stój! — wołają tamci, z drugiego komanda, którzy też idą po obiad, tylko się spóźnili.

— Kto ci zamienił? Trzymaj pysk, człowieku!

Tamci biegną, ale Grecy, ciągnąc kotły po ziemi, stękając, klnąc po swojemu: „*putare*”⁴¹ i „*porka*”⁴², popychając i poganiając się wzajemnie, znikają za żerdzią, oddzielającą świat od Harmenze. Przełazę za nimi ostatni, słyszę, jak tamci są już przy kotłach i klną mnie w żywy kamień, a moją rodzinę rozstawiają z upo-

⁴¹*putare* (wulg.) — kurwa. [przypis edytorski]

⁴²*porka* (wulg.) — kurwa, cholera. [przypis edytorski]

rem po kątach. Ale wszystko jest w porządku: dziś ja, jutro oni, kto pierwszy, ten lepszy. Nasz patriotyzm komandowy nie wychodzi nigdy poza ramy sportu.

Zupa bulgocze w kotłach. Grecy co parę kroków stawiają kotły na ziemi. Oddychają ciężko, jak ryby wyrzucone na brzeg, i ukradkiem zlizują palcami, ciekącą wąziutkimi strugami spod niedokręconych pokryw, lepka, gorąca maź. Znam jej smak, zmieszany z kurzem, brudem i potem rąk, bo sam te kotły nie tak dawno nosiłem.

Stawiają kotły i wyczekująco patrzą mi w twarz. Podchodzę uroczyście do środkowego kotła, wolno odkręcam śruby, przez nieskończenie długie pół sekundy trzymam dłoń na pokrywie i — podnoszę. Kilkanaście par oczu gaśnie w zniechęceniu: pokrzywa. Rzadka, biała ciecz chlupie w kotle. Na powierzchni pływają żółte oka margaryny. Ale wszyscy poznają po kolorze, że pod spodem leżą całe, nieposiekane, włókniste łodygi pokrzyw, o zgniłym kolorze i ohydny zapachu, że zupa do samego dna jest taka sama:

woda, woda, woda... Na moment świat ciemnieje w oczach dźwigających ludzi. Kładę pokrywę na kocioł. W milczeniu znosimy kotły na dół.

Wielkim łukiem obchodzę teraz pole ku grupie Iwana, który zdiera nawierzchnię łąki przy kartoflach. Długi rząd ludzi w pasiakach stoi nieruchomo przy czarnym wale ziemi. Od czasu do czasu ruszy się łopata, ktoś przegnie się, zamrze na chwilę w tym ruchu, wyprostuje się z wolna, dźwignie łopatę i zastygnie na długo w półobrocie, w niedokończonym geście, jak zwierzę zwane leniwcem. Za chwilę poruszy się ktoś inny, machnie łopatą i zapadnie tak samo w bezwładne otępienie. Nie pracują rękoma, lecz oczami. Gdy pojawi się na horyzoncie esesman lub kapo albo spod wnęki, gdzie panuje wilgotny cień świeżej ziemi, ciężko wygramoli się dozorca, łopaty szcękają żywiej, choć, póki się da, latają puste, członki poruszają się jak w kinie: śmiesznie, kanciasto.

Włazę wprost na Iwana. Siedzi w swej wnęcie i kozikiem wyrzyna na korze grubego drąga

ozdoby: kwadraty, wężyki, serduszka, ukraińskie napisy. Obok klęczał stary, zaufany Grek i pakował coś do jego torby. Zdążyłem jeszcze dostrzec białe, pierzaste skrzydło i czerwona głowę gęsi, dziwnie wygiętą na grzbiet, gdy Iwan, zobaczywszy mnie, rzucił na worek marynarkę. Słonina przemieęła mi w kieszeni i mam brzydką plamę na spodniach.

— Od pani Haneczki — rzekłem krótko.

— Nie mówiła nic? Miała przynieść jajka?

— Kazała ci podziękować za mydło. Bardzo się jej podobało.

— To *horoszo*⁴³. Ja je wczoraj kupił od Żyda z Kanady⁴⁴. Dałem trzy jajka.

Iwan rozwija słoninę. Jest wymiętoszona, rozparzona i żółta. Mdło mi się robi na jej widok, może dlatego, że zbyt wiele boczku zjadłem z rana i jeszcze mi się odbija.

⁴³*horoszo* (ros.) — dobrze. [przypis edytorski]

⁴⁴*Kanada* — w gwarze obozowej: grupa więźniów przebywających w obozie dłuższy czas, zajmujących się rozładunkami transportów, uważana za uprzywilejowaną. [przypis edytorski]

— O *blad*⁴⁵! Za takie dwa kawałki tylko tyle dała? Ciasta ci nie dała? — Iwan patrzy na mnie podejrzliwie.

— A wiesz, Iwan, rzeczywiście dała ci za mało. Widziałem to mydło.

— Widziałeś je? — Iwan poruszył się niespokojnie we wnęce. — Trzeba iść ludzi pognać do roboty.

— Widziałem. I za mało ci dała. Więcej ci się należy. Zwłaszcza ode mnie. Postaram ci się oddać. — Chwilę patrzymy sobie twardo w oczy.

IV

Nad samym rowem wyrósł tatarak, a po drugiej stronie, gdzie stoi głupi, wąsaty post⁴⁶ z paru trójkątami wysłużonych lat na ramieniu, rosną maliny o bladych, jakby zakurzonych liściach. Dnem rowu biegnie mętna woda, panoszą się w niej jakieś zielone, oślizgłe dziwo-

⁴⁵*blad'* (ros., wulg.) — kurwa. [przypis edytorski]

⁴⁶*post* — w gwarze obozowej: esesman, pilnujący więźniów przy pracy lub pełniący wartę na wieży strażniczej. [przypis edytorski]

twory, czasem ze szlamem wygarnie się czarnego, wijącego się węgorza. Grecy zjadają go na surowo.

Rozkraczam się nad rowem i łopataą powoli przesuwam po dnie. Stoję ostrożnie, by nie zamoczyć butów. Post podchodzi bliżej, przygląda się w milczeniu.

— Co to będzie tu robione?

— Grobla, a potem oczyścimy rów, panie post.

— Skąd masz takie ładne buty?

Buty mam istotnie ładne: na podwójnej podszwie, ręcznie szytej, półbuty bardzo wymyślnie na modę węgierską dziurkowane. Przynieśli mi je przyjaciele z rampy⁴⁷.

— Dostałem w obozie razem z tą koszulą — odrzekłem, wskazując mu na jedwabną koszulę, za którą dałem chyba z kilo pomidorów.

— Takie buty dają u was? Patrz, w jakich ja chodzę.

⁴⁷*rampa* — w gwarze obozowej: miejsce przywożenia i wywożenia transportów więźniów, a także ich selekcji. [przypis edytorski]

Pokazuje mi buty zmarszczone i popękane. Na nosie prawego łąta. Kiwam w zrozumieniu głową.

— A nie sprzedałbyś mi tych swoich butów?

Podniosłem na niego wzrok pełen bezgranicznego zdziwienia.

— Jakże ja mogę sprzedać panu własność obozu? Jakże ja mogę?

Post opiera karabin o ławkę i podchodzi bliżej do mnie, przechylając się nad wodą, która odbija jego postać. Sięgnąłem łopata i zmaściłem obraz.

— Wszystko wolno, jak nikt nie widzi. Dostaniesz chleba, mam w chlebaku.

Chleba dostałem w tym tygodniu szesnaście bochenków z Warszawy. Poza tym za takie buty pół litra wódki murowane. Uśmiecham się więc wyrozumiale.

— Dziękuję, dostajemy w obozie takie porcje, że nie jestem głodny. Chleba i słoniny mam dosyć. Ale jeśli pan post ma chleba za dużo, to niech da tym Żydom, którzy pracują tam,

przy wale. O, ten, co nosi darń — rzekłem, wskazując na małego, chudego Żydka o kaprawych, załzawionych oczach — to bardzo porządny chłopak. Zresztą te buty nie są dobre, zelówka się odrywa. — W zelówce istotnie jest szpara: chowa się tam czasem parę dolarów, czasem parę marek, czasem jakiś list. Post zagryza wargi i patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami.

— Za co ciebie zamknęli?

— Szedłem ulicą, była łapanka. Złapali, zamknęli i przywieźli. Zupełnie niewinnie.

— Wy wszyscy tak mówicie!

— O, nieprawda, nie wszyscy. Mego przyjaciela aresztowali za to, że fałszywie śpiewał, rozumie pan post, *falsch gesungen*⁴⁸.

Łopata, którą bez przerwy poruszam po dnie mulastego rowu, zaczepiła się o coś twardego. Szarpieć: drut. Klnę brzydko pod nosem, a post, ogłupiała, patrzy na mnie.

— *Was*⁴⁹, *falsch gesungen*?

⁴⁸*falsch gesungen* (niem.) — fałszywie zaśpiewane, sfalszowane. [przypis edytorski]

⁴⁹*was* (niem.) — co. [przypis edytorski]

— O, to cała historia. Raz w Warszawie, gdy podczas nabożeństwa śpiewano pieśni kościelne, mój przyjaciel zaczął śpiewać hymn narodowy. A że śpiewał bardzo fałszywie, więc go zamknęli. I powiedzieli, że dotąd nie wypuszczą, aż się nauczy nut. Bili go nawet, ale nic z tego, będzie pewnie siedział aż do końca wojny, bo jest zupełnie niemuzyczny. Raz nawet pomylił marsz niemiecki z marszem Chopina⁵⁰.

Post syknął coś i odszedł w stronę ławki. Usiadł, podniósł w zadumie karabin i, bawiąc się zamkiem, zarepetował. Podniósł głowę, jak by coś sobie przypominając.

— Ty, warszawiak, chodź, dam ci chleb, oddasz go Żydom — rzekł, sięgając po torbę.

Uśmiecham się najprzyjemniej, jak tylko umiem.

Po tamtej stronie rowu ciągnie się linia wart i postom wolno strzelać do ludzi. Za łebek dostają trzy dni urlopu i pięć marek.

⁵⁰*Chopin, Fryderyk* (1810–1849) — polski kompozytor i pianista. [przypis edytorski]

— Niestety, nie wolno nam tam chodzić. Ale jeśli pan post chce, to proszę rzucić chleb, ja naprawdę złapię.

Staję w wyczekującej pozycji, ale post odkłada nagle torbę na ziemię, zrywa się i melduje przechodzącemu dowódcy warty, że „wszystko bez szczególnych wydarzeń”.

Janek, który pracuje obok mnie, takie miłe dziecko Warszawy, które nic z obozu nie rozumie i chyba do końca nie zrozumie, wygarnia pracowicie szlam, układając go równo i starannie po drugiej stronie, prawie wprost pod nogi posta. Dowódca warty podszedł bliżej i popatrzył na nas tak, jak się patrzy na parę koni, które ciągną wóz, albo na pasące się bydło. Janek uśmiecha się szeroko w jego stronę i kiwa porozumiewawczo głową.

— Rów oczyszczamy, panie Rottenführer⁵¹, bardzo dużo błota.

⁵¹*Rottenführer* (niem.) — stopień przyznawany członkom SS i SA, zasłużonym dla organizacji, ale nieposiadającym odpowiedniego przeszkolenia politycznego lub wojskowego, aby zostać podoficerem; stopień Rottenführera był odpowiednikiem kaprała w armii. [przypis edytorski]

Rottenführer ocknął się i spojrzał na mówiącego więźnia ze zdziwieniem takim, jak patrzy się na pociągowego konia, który nagle przemówi, albo na pasącą się krowę, która zacznie śpiewać modne tango.

— Chodź no tu — rzekł do niego.

Janek odłożył łopatę, przeskoczył rów i podszedł. Wtedy Rottenführer podniósł rękę i trzasnął go z całej siły w twarz. Janek potoczył się, chwycił się krzaków malin i wjechał do szlamu. Zabulgotała woda, ja zakrztusiłem się śmiechem. Rottenführer zaś rzekł:

— G... mnie obchodzi, co ty tu robisz nad rowem! Możesz nic nie robić. Ale jak mówisz do esesmana, to masz czapkę zdjąć ze łba i opuścić ręce. — Rottenführer odszedł. Pomogłem Jankowi wyleźć z błota.

— Ale za co ja dostałem, za co, za co? — spytał zdumiony, nic nierozumiejący.

— Nie pchaj się na ochotnika — odrzekłem — a teraz się oczyść.

Kończymy właśnie szlamowanie rowu, gdy nadszedł pipel od kapa. Sięgam po chlebak,

przekładam bochenek chleba, słoninę i cebulę. Wyciągam cytrynę. Post z drugiej strony przygląda się milcząco.

— Pipel, chodź tu. Mam. Wiesz dla kogo.

— Dobra, Tadek. Słuchaj, nie masz co do jedzenia? Ale wiesz, coś słodkiego. Albo jajek. Nie, nie, ja nie jestem głodny, jadłem na dworze. Dostałem od pani Haneczki trochę jajeczniczy. Morowa kobieta! Tylko chciałyby wszystko wiedzieć o Iwanie. Ale wiesz, jak kapo pójdzie na dwór, to mu nic nie dają.

— Niech nie bije ludzi, to mu dadzą.

— Powiedz mu to.

— Od czego jesteś, pipel? Nie umiesz organizować. Przypatrz się, jak tu niektórzy gęsi łapią i wieczorem smażą w bloku, a twój kapo zupę je. Smakowały mu wczorajsze pokrzywy?

Pipel patrzy na mnie badawczo. Jest to młody, ale bardzo sprytny chłopak. Niemiec, był w wojsku, choć ma dopiero szesnaście lat. Szmu-glował.

— Tadek, mów od razu, przecie się rozumiemy. Na kogo chcesz mnie napuścić?

— Na nikogo. Ale przypatrz się dobrze gęsiom.

— A wiesz, że wczoraj znowu zginęła jedna gęś, a Unterscharführer zbił kapeć po pysku i zabrał mu ze złości zegarek? No, idę i popatrzę.

Idziemy razem, bo jest już przerwa na obiad. Gwizdzą przeraźliwie od strony kotłów i machają rękoma. Jak kto stoi, rzuca narzędzia. Łopaty sterczą na wałach. Z całego pola idą powoli ku kotłom zmęczeni ludzie, chcąc przeciągnąć błogą chwilę przedobiedną, głód, który zaraz będą nasycać. Spóźniona, ciągnie za wszystkimi grupa Iwana. Iwan zatrzymał się nad rowem przy „moim” poście i rozmawia z nim długo. Post pokazuje ramieniem. Iwan kiwa głową. Wrzaski i nawoływania przynagliły go do pośpiechu. Przechodząc koło mnie, rzuca:

— Zdaje się, że dziś nic nie upolujesz.

— Dzień się jeszcze nie skończył — odparłem.

Rzuca mi z ukosa złośliwe i wyzywające spojrzenie.

V

W pustym inkubatorze pipel rozstawia naczynia, wyciera stołki i nakrywa stół do obiadu. Pisarz komanda, grecki lingwista, kurczy się w kącie, żeby wydać się jak najmniejszym i najbardziej niepozornym. Przez wywalone drzwi widać jego twarz koloru gotowanego raka, o oczach wodnistych jak żabi skrzek. Na dworze, na placyku otoczonym naokoło wysokim wałem ziemi, posadzono więźniów. Siedli tak, jak stali, po pięciu, szeregami i w grupach. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowani, ręce opuszczone są do bioder. Podczas wydawania obiadu nie wolno im się ruszyć. Później będą mogli przegiąć się w tył i położyć się na kolanach towarzysza, ale biada, jeśli złamią szeregów. Z boku, w cieniu nasypu, niedbale siedzą esesmani, maszynowe pistolety położywszy nonszalancko na kolanach, wyciągają z toreb i chlebaków chleb, smarują uważnie margaryną, jedzą powoli i odświeżają. Do jednego przysiadł się Rubin, Żyd z Kanady, i cicho

z nimi rozmawia. Załatwia interes — dla siebie i dla kapy. Sam kapo, olbrzymi i czerwony, stoi przy kotle.

Biegamy z miskami w ręku niczym najwytrawniejsi kelnerzy. W całkowitym milczeniu podajemy zupę, w całkowitym milczeniu wyrywamy przemocą menażki z rąk, które chcą coś z pustego dna jeszcze wygrzebać, jeszcze przedłużyć chwilę jedzenia, jeszcze raz oblizać miskę, ukradkiem przeciągnąć palcem po dnie. Kapo odskoczył od kotła, wpadł w szeregi: dojrzał. Kopniakiem w twarz obala lizającego miskę, kopie raz i drugi w podbrzusze i odchodzi, deptając po kolanach i rękach, ale ostrożnie, omijając jedzących.

Wszystkie oczy patrzą z wysiłkiem w twarz kapy. Jeszcze dwa kotły: dolewka. Co dzień kapo rozkoszuje się tą chwilą. Za dziesięć lat obozu należy mu się ta pełnia władzy nad ludźmi. Końcem chochli wskazuje, kto zasłużył na dolewkę: nie pomyli się nigdy. Dolewkę dostaje lepiej pracujący, silniejszy, zdrowszy. Chory, osłabiony, wyschły człowiek nie ma prawa

do drugiej miski wody z pokrzywą. Nie wolno marnować pokarmu dla ludzi, którzy niedługo pójdą do komina.

Vorarbeiterom⁵² należą się z urzędu dwie pełne miski zupy z kartoflami i mięsem, wygrzebanej z dna kotła. Z miską w ręku oglądam się, niezdecydowany, czuję na sobie czyjś uporczywy wzrok. W pierwszym rzędzie siedzi Beker, wyłupiaste oczy utkwił pożądliwie w zupie.

— Masz, zjedz, może to ci nareszcie zaszkodzi.

W milczeniu chwyta miskę z rąk i zaczyna łapczywie jeść.

— A miskę postaw koło siebie, żeby pipel pozbierał, bo dostaniesz od kapy w mordę.

Drugą miskę oddaję Andrzejowi. Przyniesie mi za to jabłek. Pracuje w sadzie.

— Rubin, co post mówił? — pytam półgłosem, mijając go, aby pójść do cienia.

⁵²*Vorarbeiter* — w gwarze obozowej: starszy więzień w komandzie. [przypis edytorski]

— Post mówi, że Kijów zajęli — odpowiada cicho.

Zatrzymuję się zdziwiony. Kiwa mi niecierpliwie ręką. Odchodzę w cień, podkładam pod siebie marynarkę, aby nie pobrudzić jedwabnej koszulki, układam się wygodnie do snu. Odpoczywamy, jak kogo na to stać.

Kapo poszedł do inkubatora i po zjedzeniu dwóch misek zupy zasnął. Wtedy pipel wyciągnął z kieszeni kawał gotowanego mięsa, pokroił go na chlebie i począł jeść ostentacyjnie na oczach głodnego tłumu, zagryzając mięso cebulą jak jabłkiem. Ludzie porozkładali się w ciasnych szeregach jeden za drugim i, zakrywszy głowę marynarkami, zapadli w ciężki, niespokojny sen. My leżymy w cieniu. Naprzeciw rozłożyło się komando dziewcząt w białych chusteczkach. Z daleka pokrzykują coś do nas i na migi układają całe historie. Ten i ów kiwa porozumiewawczo. Jedna z dziewcząt klęczy całkiem z boku, a w wyprostowanych nad głową rękach trzyma belkę, wielką i ciężką. Co chwila esesman, pilnujący komanda, popuszcza

smyczkę psa. Pies rwie się do jej twarzy, ujadając wściekle.

— Złodziejka? — domyślam się leniwie.

— Nie. Złapali ją w kukurydzy z Petrem. Petro uciekł — odrzekł Andrzej.

— Wytrzyma pięć minut?

— Wytrzyma. To twarda dziewczka.

Nie wytrzymała. Ugięła ręce, rzuciła belkę i upadła na ziemię, głośno zanosząc się płaczem. Andrzej odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Nie masz, Tadek, papierosa? Szkoda, ot życie!

Po czym owinał głowę w marynarkę, wyciągnął się wygodniej i zasnął. Układałem się i ja do snu, gdy szarpnął mnie pipel:

— Kapo cię woła. Uważaj, bo zły.

Kapo obudził się, ma czerwone oczy. Przeciera je i patrzy nieruchomo w przestrzeń.

— Ty — dotknął mi grożąco palcem piersi — dlaczego oddałeś zupę?

— Mam co innego jeść.

— Co on ci dał za to?

— Nic.

Kiwa głową niedowierzająco. Porusza ogromnymi zuchwami jak krowa, żująca pokarm.

— Jutro w ogóle zupy nie dostaniesz. Dostaną ci, co nic innego nie mają do jedzenia. Rozumiesz?

— Dobrze, kapo.

— Dlaczego nie zrobiłeś czterech trag⁵³, jak ci kazałem? Zapomniałeś?

— Nie miałem czasu. Kapo widział, co robiłem przed południem.

— Zrobisz je po południu. I uważaj, żebyś sam na nich nie leżał. Ja ci to mogę zrobić.

— Czy mogę już odejść?

Dopiero teraz spojrział na mnie. Utkwił we mnie martwy, pusty wzrok człowieka wyrwanego z głębokiego zamyślenia.

— Czego ty tu chcesz? — zapytał.

VI

Spod kasztanów doszedł mnie zdławiony krzyk człowieka. Zbieram klucze i zakrętki, układam tragi jedną na drugiej, rzucam Jankowi:

⁵³traga — w gwarze obozowej: nosze. [przypis edytorski]

— Janek, weź skrzynkę, bo się mamusia będzie gniewała — i podchodzę w stronę drogi.

Na ziemi leżał Beker, charczał i pluł krwią, a Iwan kopał go, gdzie popadło: w mordę, w brzuch, w podbrzusze...

— Patrz, co ten hadiuka⁵⁴ zrobił! Cały obiad ci wyżarł! Złodziej przeklęty!

Na ziemi leży menażka pani Haneczki z resztą kaszy. Beker jest cały umazany w kaszy.

— Wsadziłem mu ryło do menażki — rzekł, ciężko dysząc, Iwan. — Dokończ go, bo muszę iść.

— Umyj menażkę — rzekłem do Bekera — i postaw pod drzewem. Uważaj, żeby cię kapo nie złapał. Właśnie zrobiłem czworo noszy. Wiesz, co to znaczy?

Na drodze Andrzej ćwiczy dwóch Żydów. Nie umieli maszerować, kapo połamał im na łbach dwa kije i zapowiedział, że się muszą nauczyć. Andrzej przywiązał im po kiju do nogi i tłumaczy, jak może: „*czortowe wy diety, taj*

⁵⁴hadiuka — w polszczyźnie kresowej: wąż, padalec. [przypis edytorski]

*dywyś, ce lewa, a ce prawa, links, links*⁵⁵. Grecy otwierają szeroko oczy i maszerują w koło, ze strachu szurając nogami po ziemi. Ogromny tuman kurzu wzbija się wysoko w górę. Koło rowu, gdzie stoi post, ten od butów, pracują nasi chłopcy, „planują” ziemię, delikatnie ubijając ją i głaszcząc łopatom, jakby była ciastem. Wrzeszczą, gdy idą na przełaj, zostawiając głębokie ślady.

— Tadek, co słyszeć?

— A nic, Kijów zajęli.

— A czy to prawda?

— Śmieszne pytanie!

Tak drąc się na cały głos, omijam ich z boku i idę wzdłuż rowu. Nagle słyszę za sobą wołanie:

— *Halt, halt, du Warschauer!*⁵⁶ — I za chwilę niespodziewanie po polsku: — Stój, stój!

⁵⁵*czortowe wy diety, taj dywyś, ce lewa, a ce prawa, links, links* — diabelski pomioście, no i patrzcie, lewa, prawa, lewa, lewa. [przypis edytorski]

⁵⁶*Halt, halt, du Warschauer!* (niem.) — Stój, stój, ty warszawiaku! [przypis edytorski]

Po drugiej stronie rowu dobiega do mnie pędem „mój post”, karabin pochylił jak do szturm. Jest bardzo podniecony. — Stój, stój!

Stoję. Post przedziera się przez krzaki jeżyn, repetuje karabin.

— Coś ty teraz mówił? O Kijowie? Wy tu plotki polityczne rozpuszczacie! Wy tu tajną organizację macie! Numer, numer, podaj swój numer!

Dygocąc ze złości i wzburzenia, wyciąga świstek papieru, długo szuka ołówka. Uczułem, jak ze mnie coś odpływa, ale trochę ochłonąłem.

— Przepraszam, pan post nie zrozumiał. Pan post słabo po polsku rozumie. Ja mówiłem o kijach, które Andrzej przywiązał Żydom na drodze. I że to jest bardzo śmieszne. — „Tak, tak, panie post, właśnie to on mówił” — potwierdza zgodny chór.

Post zamierzył się karabinem, jak by chciał mnie sięgnąć kolbą przez rów.

— Ty jesteś ale zwariowany! Ja jeszcze dzisiaj zamelduję na polityczny! Numer, numer!

— Sto dziewiętnaście, sto dzie...

— Pokaż na ręce.

— Patrz.

Wyciągam ramię z wytatuowanym numerem i jestem pewien, że z daleka nie widzi.

— Chodź bliżej.

— Nie wolno mi. Może post robić meldunek, ale ja nie jestem „biały Wańka”.

„Biały Wańka” parę dni temu wlaźł na brzozę, rosnącą na linii postów, żeby naciąć gałęzi na miotły. Za miotły można dostać w obozie chleb lub zupę. Post złożył się i strzelił, kula przeszła na ukos przez pierś i wyszła tyłem przez kark. Przynieśliśmy chłopca do obozu. Odchodzę zły, ale tuż za węglem dogania mnie Rubin.

— Tadek, cóżeś ty zrobił? I co to będzie?

— A co ma być?

— Przecież ty wszystko powiesz, że to ja... Oj, coś ty najlepszego zrobił. Jak można tak głośno krzyczeć? Ty mnie zniszczyć chcesz.

— Czego ty się boisz? U nas nie sypią.

— Ja wiem i ty wiesz, ale *sicher ist sicher*⁵⁷. Pewne jest pewne. Ty, a może dasz te buty dla posta? On się na pewno zgodzi. Nu, ja spróbuję z nim pogadać. Niech mnie to kosztuje. Ja z nim handlowałem.

— A to świetnie, powie się i o tym.

— Tadek, ja czarno widzę przed nami. Ty daj buty, a ja z nim obgadam. To morowy chłop.

— Tylko za długo żyje. Butów nie dam, bo mi szkoda. Ale mam zegarek. Nie chodzi i ma pęknięte szkło, ale od czego ty jesteś. Zresztą, daj swój, nic cię nie kosztował.

— Oj, Tadek, Tadek...

Rubin chowa zegarek, słyszę z daleka:

— Kolejarz!

Biegnę na przelaj przez pole. Oczy kapy nabrały złowieszczy wyrazu, a w kącikach ust pojawiła się piana. Ręce, olbrzymie goryle ręce, kołyszą się miarowo, a palce nerwowo się kurczą:

— Coś handlował z Rubinem?

⁵⁷*sicher ist sicher* (niem.) — pewne to pewne. [przypis edytorski]

— Kapo przecież widział. Kapo wszystko widzi. Dałem mu zegarek.

— Coo? — Ręce powoli poczęły się podnosić ku mojemu gardłu.

Skamieniałem ze strachu. Bez najmniejszego ruchu (to dzikie zwierzę — przemknęło mi przez myśl), nie spuszczać z niego oczu, wypaliłem jednym tchem:

— Dałem zegarek, bo post chce mi robić meldung⁵⁸ na polityczny za to, że prowadzę tajną robotę.

Ręce kapo rozprężyły się z wolna i opadły wzdłuż boków. Szczęka zwisała lekko jak u psa, któremu jest zbyt gorąco. Słuchając opowiadania, niezdecydowanie macha trzonkiem od łopaty.

— Idź do roboty — zdaje się, że ciebie dziś poniosą do obozu.

W tej chwili czyni błyskawiczny ruch, podrywa się na baczność i ściąga czapkę z głowy. Odskakuję, uderzony z tyłu rowerem. Zrywam czapkę. Unterscharführer, gospodarz z Harmen-

⁵⁸*Meldung* (niem.) — zgłoszenie, meldunek. [przypis edytorski]

ze, zeskakuje z roweru, czerwony ze zdenerwowania:

— Co się tu dzieje na tym zwariowanym komandzie? Dlaczego ci ludzie chodzą tam z poprzywiązywanyymi kijami? To jest czas pracy!

— Oni nie umieją chodzić.

— Jak nie umieją, to ich zabić. A wie pan, że znowu zginęła gęś?

— Czego stoisz jak głupi pies? — wrzasnął kapo na mnie. — Andrej ma zrobić z nimi porządek. *Los!*⁵⁹

Poleciałem ścieżką.

— *Andrej, konczaj!*⁶⁰ ich! Kapo kazał!

Andrzej chwycił kij i uderzył na odlew. Grek zasłonił się ręką, zaskowyczał i upadł. Andrzej położył mu kij na gardle, stanął na kiju i zakotył się.

Odszedłem prędko w swoją stronę.

Z daleka widzę, jak kapo z esesmanem idą do mego posta i długo z nim gadają. Kapo gestykuluje gwałtownie trzonkiem łopaty. Czap-

⁵⁹*Los!* (niem.) — Szybciej! [przypis edytorski]

⁶⁰*Andrej, konczaj* (ros.) — Andrej, wykończ. [przypis edytorski]

kę ma nasadzoną na łbie. Gdy odeszli, podszedł do posta Rubin. Post wstał z ławki, zbliżył się nad rów, wreszcie wszedł na groblę. Po chwili Rubin kiwa na mnie.

— Podziękuj panu postowi, że ci nie zrobi meldunku.

Rubin nie ma zegarka na rękę.

Dziękuję i odchodzę w stronę warsztatu. Stary Grek, ten od Iwana, zatrzymuje mnie po drodze.

— *Camerade*⁶¹, *camerade*, ten esesman to z obozu, prawda?

— Albo co?

— To dziś już naprawdę będzie wybiórka?

I w dziwnej egzaltacji siwy, wysuszony Grek, kupiec z Salonik, odrzuca łopatę i podnosi ręce do góry:

— *Nous sommes les hommes misérables. O Dieu, Dieu!*⁶²

Blade, niebieskie oczy patrzą w niebo, które jest tak samo niebieskie i blade.

⁶¹*camerade* — towarzysz, kolega. [przypis edytorski]

⁶²*Nous sommes les hommes misérables. O Dieu, Dieu!* (fr.) — Jesteśmy nieszczęśnikami. O Boże, Boże! [przypis edytorski]

VII

Podnosimy wagonik. Naładowany do pełna piaskiem, wykoleił się na samej „scheibie”⁶³. Cztery pary wychudłych ramion pchają wóz raz do przodu, raz do tyłu, huśtają. Rozkołysali, podnieśli przednią parę kół, wstawili na szyny. Podkładamy kołek, lora⁶⁴ już, już włazi na szyny, nagle puszczamy ją i wyprostowujemy się.

— Zbiórka! — drę się i gwizdzę z daleka.

Lora bezwładnie opada i kołami zarywa się w ziemię. Ktoś odrzuca niepotrzebny drąg, wysypujemy piasek z lory wprost na „scheibę”. I tak się jutro sprzątnie.

Idziemy na „antreten”⁶⁵. Dopiero po chwili orientujemy się, że przecież za wcześnie. Słońce stoi jeszcze wysoko. Do czuba drzewa, o które opiera się nosem w porze zbiórki, jest jeszcze kawał drogi. Najwyżej trzecia. Twarze ludzkie

⁶³*scheiba* (z niem.) — tu: płytka metalowa z otworem, podkładana pod główkę śruby lub pod nakrętkę. [przypis edytorski]

⁶⁴*lora* — odkryty wagon towarowy. [przypis edytorski]

⁶⁵*antreten* (niem.) — tu: stanąć w szeregu, zbiórka. [przypis edytorski]

są niespokojne i pytające. Stajemy w piątkach, równamy, dociągamy torby i pasy.

Pisarz liczy nas nieustannie.

Od strony dworu idą esesmani i te nasze posty. Obstawiają nas wokoło. Stoimy. Na końcu komanda nosze z dwoma trupami.

Na drodze uczynił się większy ruch niż zwykle. Ludzie z Harmenz chodzą tu i tam, zaniepokojeni naszym wczesnym odejściem. Ale dla starych „lagrowców”⁶⁶ rzecz jest jasna: w lagrze będzie naprawdę wybiórka.

Parę razy mignęła jasna chusteczka pani Hanczki.

Kobieta zwraca ku nam pytające oczy. Stawia koszyk na ziemi i opiera się o stodołę, patrzy. Idę za jej wzrokiem. Patrzy niespokojnie na Iwana.

Zaraz za esesmanami nadszedł kapo i cherlak Kommandoführer.

— Rozstąpić się i podnieść ręce do góry — rzekł kapo.

⁶⁶lagrowiec — w gwarze obozowej: więzień obozu koncentracyjnego. [przypis edytorski]

Wtedy wszyscy zrozumieli: rewizja. Rozpinamy kurtki, otwieramy torby. Esesman jest wprawny i szybki. Przejeżdża rękoma po ciebie, sięga do torby. Obok reszty chleba, paru cebul i jakiejś zestarzałej słoniny — jabłka, niewątpliwie z sadu.

— Skąd to masz?

Podnoszę głowę: „mój” post.

— Z paczki, panie post.

Przez chwilę patrzy mi ironicznie w oczy.

— Te same jabłka jadłem dzisiaj po obiedzie.

Wypaproszają z kieszeni kawały słoneczników, kaczany kukurydzy, ziele, szczaw, jabłka, raz po raz podrywa się krótki ludzki wrzask: biją.

Nagle Unterscharführer wszedł w sam środek szeregu i wyciągnął na bok starego Greka z dużą, wypchaną torbą.

— Otwórz — rzekł krótko.

Trzęsącymi się rękoma Grek otworzył torbę. Unterscharführer zajrzał do środka i zawołał kapa:

— Patrz, kapo, nasza gęś.

I wyciągnął z torby gęś o olbrzymich, rozłożystych skrzydłach.

Pipel, który też podbiegł do worka, krzyknął tryumfująco do kapy:

— Jest, jest, a nie mówiłem!

Kapo zamachnął się kijem.

— Nie bij — rzekł, wstrzymując mu rękę, esesman.

Wyciągnął z pochwy rewolwer i zwrócił się wprost do Greka, wymownie gestykulując bronią.

— Skąd to masz? Jak nie odpowiesz, to cię zastrzelę. — Grek milczał. Esesman podniósł pistolet. Spojrzałem na Iwana. Był zupełnie blady. Spojrzenia nasze spotkały się. Zaciśnął usta i wystąpił z szeregu. Podszedł do esesmana, zdjął czapkę i rzekł:

— To ja mu dałem.

Wszystkie spojrzenia zawisły na Iwanie. Unterscharführer wolno podniósł pejcz i ciął go po twarzy raz, drugi, trzeci. Potem zaczął bić po głowie. Pejcz świszcział, twarz więźnia pokry-

ła się krwawymi pręgami, ale Iwan nie padał. Stał z czapką w ręce, wyprostowany, z rękoma wzdłuż bioder. Nie uchylał głowy, chwiał się tylko całym ciałem.

Unterscharführer opuścił rękę.

— Zapisać mu numer i złożyć meldunek.
Komando — odmarsz.

Odchodzimy równym, wojskowym krokiem. Zostaje za nami kupa słoneczników, kępy ziela, szmaty i torby, pogniecione jabłka, a za tym wszystkim leży wielka gęś o czerwonym łbie i rozłożystych białych skrzydłach. Na końcu komanda idzie Iwan, niepodtrzymywany przez nikogo. Za nim na noszach niosą dwa trupy, przykryte gałęziami.

Gdy przechodziliśmy koło pani Haneczki, zwróciłem głowę w jej stronę. Stała blada i wyprostowana, z rękoma przyciśniętymi do piersi. Wargi jej drżały nerwowo. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Wtedy zobaczyłem, że jej duże czarne oczy pełne były łez.

Po apelu wpędzili nas na blok. Leżymy na pryczy, wyglądamy przez szpary i czekamy na koniec wybiórki.

— Czuję się, jak bym zawinił w tej całej wybiórce. Ten dziwny fatalizm słów. W tym przeklętym Oświęcimiu⁶⁷ nawet złe słowo ma moc stawania się.

— Nie przejmuj się — odrzekł Kazik — daj lepiej coś do tego pasztetu.

— Pomidorów nie masz?

— Nie co dzień świętego Jana.

Odsunąłem przygotowane kanapki.

— Nie mogę jeść.

Na dworze kończą wybiórkę. Lekarz-esman, zabrawszy liczbę i numery zapisanych, odchodzi do następnego bloku. Kazik zabiera się do odejścia.

— Idę kupić papierosów. Ale wiesz, Tadek, jesteś frajer, bo jakby mi kto kaszę wyjadł, to bym go zbił na marmoladę.

⁶⁷*Oświęcim* — miasto w województwie małopolskim, siedziba władz powiatu oświęcimskiego; w latach 1940–1945 działał tutaj zespół niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych. [przypis edytorski]

W tej chwili na krawędzi buksy⁶⁸ wylazła z dołu jakaś siwa, ogromna czaszka i spojrzały na nas zażenowane, mrugające oczy. Potem ukazała się twarz Bekera, zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

— Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

— Gadaj — rzekłem, przechylając się ku niemu.

— Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zajrzałem mu z bliska w oczy: były spokojne i puste.

— Tadek, ale ja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi coś zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

— Znasz tego Żyda?

— To Beker — odrzekłem cicho.

— Te, Żyd, włącz tu na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Włącz na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

⁶⁸*buksa* — w gwarze obozowej: prycza. [przypis edytorski]

— Tadek — chwycił mnie za ramię —
chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost
od mamy.

Złaząc z buksy, trącił mnie ramieniem.

— Patrz — rzekł szeptem.

Spojrzałem na Bekera. Miał przymknięte
powieki i jak ślepiec próżno szukał dłonią de-
ski, żeby wleźć na górę.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/borowski-pozegnanie-z-maria-dzien-na-harmenzach/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Borowski, *Pozegnanie z Marią*, Wiedza, Warszawa 1948.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Bez tytułu, Teresa Żarnowerówna (c.1895-1897 – 1949), domena publiczna

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę

TADEUSZ BOROWSKI *Dzień na Harmenzach*

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.